

A high-angle photograph of a woman with dark hair, wearing a bright yellow, short-sleeved, button-up dress, standing on a spiral staircase. She is leaning forward, resting her hand on the wooden handrail. The staircase has a teal-colored wall in the background. The entire image is framed by a white decorative border with ornate corner pieces.

Carmen
ROMERO DORR

**TAJEMNICA
PAULINY
HOFFMANN**

PORUSZAJĄCA OPowieść
O SILE KOBIEt



Carmen
ROMERO DORR

**TAJEMNICA
PAULINY
HOFFMANN**

Przełożyła
AGATA OSTROWSKA



DOM WYDAWNICZY REBIS

Tytuł oryginału
El ultimo regalo de Paulina Hoffmann

© Carmen Romero, 2018
This edition c/o SalmaiaLit, Literary Agency.
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,
Poznań 2019

Redaktor
Katarzyna Raźniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki
Urszula Gireń

Fotografia na okładce
© Ildiko Neer/Arcangel

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujemy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

Wydanie I
Poznań 2019

ISBN 978-83-8062-469-6

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40; fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl
DTP: *Akapit*, Poznań, 61-879-38-88

*Dla mojej babci, której już nie ma,
i dla mojego ojca, który zawsze jest przy mnie*

Gdybyśmy nie umieli czerpać sił
z tego, co tracimy,
za czym tęsknimy
i czego bezskutecznie pragniemy,
to nigdy nie mielibyśmy ich dosyć,
prawda?
No bo cóż innego daje nam siłę?

Hotel New Hampshire,
JOHN IRVING*

* Tłum. Michał Kłobukowski, Wydawnictwo Wojciech Pogonowski, Warszawa 1992, s. 415 (wszystkie przypisy tłumaczki).

MIESZKANIE

Berlin, sierpień 2016

To tylko cztery klucze na kółku z breloczkiem opisanym niebieską literą P, ale Alicia nie mogła przestać o nich myśleć przez te ostatnie tygodnie, od kiedy zobaczyła je po raz pierwszy w kancelarii notarialnej.

Właśnie wysiadła z taksówki, która przywiozła ją z lotniska. Waniliowe ściany budynku, zieleń drzew, zgiełk dzielnicy. Wszystko jest dla niej nowe, we wszystkim zdaje się zawierać jakieś znaczenie, które na razie jej umyka.

– Po co te tajemnice, babciu? – pyta półgłosem.

Kastanienallee 14, mieszkanie B na pierwszym piętrze.

Bierze głęboki oddech, otwiera drewniane drzwi i znika w półmroku bramy.

Mieszkanie jest niezbadaną przestrzenią, dziewiczym terytorium. Znajdując się w nim teraz, czuje się tak, jakby zbliżała się do okna uchylonego dla niej przez Paulinę, słuchała początku jednej z jej starych historii. Po przebudzeniu przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, gdzie jest. Dochodzi dziesiąta, spała długo i przez całą noc śniła. Oczywiście o niej. Słyszała jej głos i czuła na języku smak gorącej czekolady.

Wczoraj wsiadła w Madrycie w jeden z tych tanich samolotów, w których upycha się pasażerów jak bydło, po czym przez niemal trzy godziny próbowała się skupić na powieści Johna Irvinga zabranej na pokład w bagażu podręcznym. Z trudem jednak przychodziło jej myślenie o czymkolwiek poza tym miastem, tym domem, tą nieświadomą. Co kilka minut wsuwała dłoń do torebki, żeby się upewnić, czy pęk kluczy nadal tam jest.

To duże, przestronne mieszkanie. Jasna farba na ścianach oraz potoki porannego światła wpadające przez okna potęgują wrażenie przestrzeni. Promienie docierają tu przefiltrowane przez liście rozłożystego kasztanow-

ca rosnącego przed balkonem, malują urokliwe wzory na parkiecie. Gałęzie bujają się na wietrze, więc lśniąca plamki poruszają się na podłodze, igrają i tańczą.

Poprzedniego wieczoru zatrzymała się przed wejściem, żeby przyjrzeć się fasadzie. To typowa odbudowana po wojnie kamienica z lat trzydziestych, jakich wiele w dzielnicy Prenzlauer Berg. Na przytulnym dziedzińcu wewnętrznym mieszkańcy trzymają rowery, najpopularniejszy środek transportu w tej okolicy, gdzie nie ma ani intensywnego ruchu, ani stromych wzniesień. Tuż po sąsiedztwie znajduje się kawiarnia Blume – co po niemiecku znaczy „kwiat” – z kolorowymi krzesłami i stolikami ustawionymi na zewnątrz oraz gąszczem roślin w środku. Ulicą spacerują ojcowie i matki z wózkami dziecięcymi, pary trzymające się za ręce, kobiety przyklejone do telefonów komórkowych.

W mieszkaniu prawie nie ma mebli, tylko spore łóżko w największej sypialni i trochę sprzętów z początków XX wieku, wybranych wyraźnie okiem eksperta: elegancki kredens, stół, parę krzeseł z oparciem z toczonych szczebli. Niemiecka secesja najwyższej jakości. „Bardzo w guście babci”, myśli Alicia.

Pstryka kilka zdjęć i wysyła ojcu, bo wczoraj narzekał, że na tych, które zrobiła zaraz po przyjeździe, prawie w nocy, nic nie było widać. W kuchni znajduje szylkretową tacę, która też wygląda na antyk, i przenosi się do salonu. Dobra kawa i jajecznicza z dwiema grzankami: dokładnie tego jej teraz potrzeba. Siada i w tej samej chwili dostaje na WhatsAppie wiadomość od Marcosa: zdjęcie Jaimego przy kolacji w ogródku jej teściów w El Escorial. Uśmiechnięty chłopiec siedzi w wysokim krzeselku nad talerzem czegoś, co wygląda na rozdrobnionego kurczaka.

Jest ubrany w niebieską pizamę, włosy ma jeszcze wilgotne po kąpiel. Alicia czuje pustkę, nieprzyjemny ucisk w dołku – ciężar winy, tej starej znajomej.

Wczoraj była wykończona, ledwie zdążyła się rozpakować i w pośpiechu znaleźć supermarket, żeby kupić najpotrzebniejsze produkty, ale dziś obudziła się z wrażeniem obcości. Nigdy wcześniej tu nie była i nawet nie wie, jakiego rodzaju więź łączyła jej babcię z tym miejscem, ale niezmiernie silnie odczuwa jej obecność. Jakby właśnie w tej chwili stała za jej plecami, pilnując, żeby ładnie zjadła śniadanie, tak jak kiedy była dziewczynką.

Odeszła już ponad miesiąc temu. Pewnego dnia świt zastał ją martwą, tak po prostu, w łóżku, w którym spała sama przez tyle lat, od kiedy owdowiała w bardzo młodym wieku. Lekarz orzekł, że w nocy dostała ataku serca. Bez bólu, bez lęku. Do tamtej chwili cieszyła się doskonałym zdrowiem, była w pełni samodzielna, choć lada dzień miała skończyć osiemdziesiąt cztery lata. Na dobrą sprawę to wielkie szczęście odejść w taki sposób, wieść tak dobre życie do samego końca, powtarzali jak mantrę wszyscy krewni i znajomi przybyli do domu pogrzebowego i na cmentarz. Ale, jak powtarzał głosik w sercu Alicii, do dupy z taką pociechą, kiedy tak ważna i bliska osoba z dnia na dzień znika z naszego życia.

Babcia była jej powierniczką, przyjaciółką, opiekunką, wzorem, współniczką. Niemalże matką dla osieroczonej w dzieciństwie dziewczynki. Spędziła z nią niezliczone popołudnia i wieczory, nauczyła radzić sobie z pierwszymi rozczarowaniami, a niepowodzenia przyjmować z pogodą ducha. Kochać książki. Nie dać się pokonać, dążyć do szczęścia. Dawała jej schronienie setki

razy, kiedy już jako nastolatka, a nawet dorosła kobieta kłóciła się z ojcem czy jakimś chłopakiem. Jej dom stanowił dla Alicii najważniejszy azyl, drzwi zawsze stały dla niej otworem.

Kiedy dowiedziała się, że jest w ciąży z Jaimem, zadzwoniła do babci wcześniej nawet niż do ojca. Kiedy po przyjęciu do kancelarii adwokackiej wygrała pierwszą ważną sprawę, także czym prędzej zawiadomiła Paulinę Hoffmann: najcenniejszych pochwał udzielają nam ci, którzy wiedzą, ile wysiłku włożyliśmy w osiągnięcie celu. A kiedy nieco ponad rok temu wszystko się zawaliło, była jedyną osobą (nie licząc Marcosa, oczywiście, ale w jego przypadku nie miała wyjścia), wobec której zdołała się na szczerość. Każdy potrzebuje kogoś, kto kocha go bezgranicznie, kto ofiaruje absolutną, bezwarunkową miłość. W jej przypadku tym kimś była babcia. Alicia od dzieciństwa wiedziała, że cokolwiek by się działo, Paulina zawsze będzie przy niej.

Ale teraz już jej nie ma.

Zawsze opowiadała jej wszystko, bez zahamowań, bez skrępowania. I to właśnie dlatego czuje się teraz taka zagubiona. Odkryła, że babcia nie odwzajemniała jej szczerości. Być może łącząca je więź wcale nie była taka silna. W zasadzie to pogniewała się na babcię. Bardzo się na nią gniewa. Ale teraz już nie może rzucić słuchawką ani zjawić się u niej w domu, żeby się pokłócić.

Kilka dni po pogrzebie rodzina zebrała się w gabinecie notariusza na odczytanie testamentu. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat życia Paulinie dobrze się powodziło, a jak na porządną Niemkę przystało, wszystkiego dopilnowała i dopięła na ostatni guzik. Jej dzieciom, Elisie i Diegowi, zależało na jak najszybszym załatwieniu sprawy. Podział

spadku wydawał się z góry raczej oczywisty, chcieli tylko odbębnić formalności i pogрузić się w żałobie.

Babcia jednak miała dla nich w zanadrzu ostatnią niespodziankę.

– Nieruchomość w Berlinie? – Ojciec Alicii jako pierwszy przerwał milczenie.

– Owszem, usytuowana przy Kastanienallee pod numerem czternastym. Pięć lat temu państwa matka podpisała akt kupna-sprzedaży – odparł notariusz.

– To na Prenzlauer Berg, znam tę okolicę – dodała Elisa. – Kilka razy wystawiałam się w galerii w Berlinie. Ale nic nie rozumiem.

– Kiedy babcia była w Berlinie? Po co miałyby kupować tam mieszkanie? I dlaczego nic nam nie powiedziała? – dopytywała Alicia.

– Nie mam pojęcia, córeczko, babcia robiła, co jej się podobało. Sama wiesz, że jak na swój wiek miała niewiarygodne pokłady energii. W każdej chwili mogła pojechać do Berlina – stwierdził Diego.

– Może kupiła je jako inwestycję? – zasugerowała Elisa. – Mieszkanie w Berlinie to mógł być niezły interes w latach najgorszego kryzysu.

– Szczerze wątpię. Nie sądzę, żeby w wieku siedemdziesięciu dziewięciu lat nasza matka zaczęła inwestować w nieruchomości za granicą – odrzekł jej brat. – Może po prostu tęskniła za miastem. W końcu to tam się urodziła.

– Ale to bardzo dziwne, że nie pisnęła ani słówka... – wtrąciła Alicia.

– Zawsze była taka niezależna – odparła Elisa. – I co my teraz zrobimy z mieszkaniem w Niemczech?

– Decyzja należy do wnuczki. Świętej pamięci pani

Hoffmann zaznaczyła, że mieszkanie ma odziedziczyć właśnie ona – oznajmił notariusz.

Oczy rodziny natychmiast zwróciły się ku Alicji z nadzieją, że może ona coś wyjaśni.

Nie miała jednak nic do powiedzenia na ten temat, bo sama nic nie wiedziała, choć gorączkowo przeczesywała wspomnienia w poszukiwaniu jakiejś wskazówki. Czy babcia wspomniała, choćby mimochodem, o niedawnej podróży do Niemiec? Mogłaby przysiąc, że nie. Choć trzeba przyznać, że Paulina niechętnie tłumaczyła się ze swoich poczynań. Tyle razy zdarzało jej się pojechać na przykład do Malagi bez żadnego uprzedzenia. Kiedy w Madrycie robiło się zimno albo po prostu się nudziła, wsiadała do pociągu na stacji Atocha i już wkrótce przekraczała próg swojego wspaniałego domu w dzielnicy El Limonar, na wzgórzu z widokiem na Morze Śródziemne. To było bardzo w jej stylu.

Jednak nawet biorąc pod uwagę jej charakter, wydawało się dziwne, że ukrywała coś tak ważnego. Pojechać spontanicznie na plażę to jedno, ale kupić mieszkanie w innym kraju i nie napomknąć o tym nawet własnym dzieciom, to zupełnie co innego. Dlaczego postanowiła zachować to w tajemnicy? I dlaczego zależało jej, żeby mieszkanie trafiło właśnie do niej? Dokładnie w tamtej chwili zdecydowała się pojechać do Berlina w sierpniu, kiedy Jaime miał spędzić dwa tygodnie z ojcem.

Notariusz podał jej kopertę wyciągniętą z teczki.

W środku znajdowały się dokumenty nieruchomości i pęk czterech kluczy z breloczkiem opisanym niebieską literą P.

Oraz niezliczone pytania bez odpowiedzi.

ZABAWA

Madryt, 1991

Siedzą tylko we dwie w salonie zdominowanym przez olbrzymią drewnianą bibliotekę. W ciepłym pomieszczeniu pali się kilka niezbyt jasnych lamp, panuje cisza i spokój. Grube mury budynku przy calle Velázquez nie przepuszczają zimna ani hałasu. W intymnym półmroku wydaje im się, że są jedynymi ludźmi na Ziemi. Świat zewnętrzny jest gdzieś daleko stąd.

To jedno z wielu takich samych zimowych popołudni. Poniżej, na ulicy, deszcz miesza się z odgłosami ruchu drogowego i gonitwą tysięcy osób wracających z pracy. Nie ma wśród nich ojca Alicii, który będzie dziś do późna siedział w gabinecie, więc dziewczynka zostanie u babci aż do kolacji. Te popołudniowe godziny stały się dla nich cennym, delikatnym skarbem, którego nikt poza nimi nie powinien dotykać, żeby nie naruszyć jego idealnego kształtu.

Te same kasztanowe włosy, te same niebieskie oczy, ta sama śnieżnobiała cera. Charakterystyczne cechy Pauliny Hoffmann, urodzonej w Berlinie w roku 1932, przeskoczyły o pokolenie i ujawniły się w jej jedynej wnuczce.

Po raz kolejny przeglądają razem zdjęcia ze starego

albumu oprawionego w bordową skórę o powycieranych już rogach. Na stole leży cynowe lustro, a wnuczka bawi się w porównywanie własnego odbicia z czarno-białym wizerunkiem dziewczynki, która uśmiecha się z tych portretów z innego czasu, niemalże z innego świata. Na tacy leżą resztki podwieczorku. Kto miałby czas biegać długim korytarzem do kuchni, skoro obie są całkowicie zatopione w (magicznym dla młodszej, coraz bardziej niezbędnym dla starszej) świecie wspomnień?

Dziewczynka bierze do ręki znajomą fotografię wykonaną przed okazałym gmachem Staatsoper na alei Unter den Linden. Szykowne małżeństwo – ona w butach na obcasie i przekrzywionym na bok kapeluszu, który nadaje jej aurę tajemniczości – pozuje wraz z trójką małych dzieci na tle wielkiej pruskiej świątyni muzyki operowej. Wszyscy członkowie rodziny są elegancko wystrojeni, jak zwykle na starych fotografiach, na których uwieczniano tylko najważniejsze okazje. Chłopcy mają na głowach równiutkie przedziałki, dziewczynka – wielką kokardę. Na odwrocie da się jeszcze odczytać wyblakły napis: „Familie Hoffmann. Berlin, 1936”.

Paulina Hoffmann nie pamięta, w jakich okolicznościach zrobiono zdjęcie: była wtedy zaledwie czteroletnim dzieckiem, a już od dawna nie ma na świecie nikogo, kogo mogłaby o to zapytać. W tamtym momencie wyglądali jednak na szczęśliwych. Zostało jej ledwie kilkanaście fotografii rodziców i braci, a gdyby nie one, to już całe dziesiątki lat temu zapomniałaby ich twarze. Ale oto są. Jej ojciec – szczupły, ciemnowłosy brodac; złotowłose głowy matki i braci, oczy szeroko otwarte do zdjęcia. Minęło tyle czasu, tak wiele się wydarzyło. Jednak po długich latach walki o zapomnienie teraz czuje potrzebę nurzania się

w tej przeszłości – tak odległej, że zdaje się życiem kogoś innego – żeby spróbować zrozumieć, kim naprawdę jest. Skąd pochodzi. Dlaczego zrobiła wszystko to, co zrobiła.

Babcia to szczupła kobieta o bardzo jasnej skórze, ubrana w dzinsy i sweter z golfem, której dużo jeszcze brakuje do przemiany w staruszkę. Do dziś ktoś od czasu do czasu bierze ją za turystkę, choć niemal całe życie spędziła w Madrycie. Nigdy do końca się nie pozbyła – częściowo dlatego, że wcale nie chciała – lekko niemieckiego akcentu, który choć twardy, w jej ustach brzmi słodko, melodyjnie.

Alicia próbuje dopatrzeć się na zdjęciu rysów babci. Z wyjątkiem włosów, co do których czarno-biała fotografia pozwala się domyślić, że są ciemne, z trudem przychodzi jej rozpoznać w podobiznie tej dziewczynki twarz kobiety, która siedzi teraz obok. Owszem, dostrzega podobieństwo do siebie samej, chociaż w naiwności dziewięciolatki uważa się za znacznie doroślejszą od malutkiej Pauliny, która trzymana za ręce przez starszych braci patrzy wesoło w obiektyw, nieświadoma, że jej krótkie życie już niedługo rozpadnie się na tysiąc kawałków.

Na drugiej fotografii widnieje dwójka nastolatków – ten mniejszy to jeszcze praktycznie dziecko – prawdopodobnie w brązowych mundurach. Na prawym rękawie mają opaskę z orłem, swastyką i dwoma słowami po niemiecku. Widać tylko pierwsze litery: D i V, reszta jest zamazana. Spod czapek wystają włosy jasnoblonde – obaj chłopcy są wcieleniem ideału Aryjczyka. Zdjęcie wykonano w listopadzie 1944 roku.

– Kto to? – pyta dziewczynka, chociaż na pamięć zna odpowiedź.

– Otto i Heinz, moi bracia – tłumaczy znowu babcia, która ostatnio coraz silniej odczuwa potrzebę powro-

tu do pierwszych wspomnień, do najgłębszych korzeni, a odkryła, że jedyny sposób, by bolesne doświadczenie uczynić znośnym, to zmienić je w coś w rodzaju zabawy z wnuczką. Przekształcić horror w bajkę odpowiednią dla dziecięcych uszu. – Byli żołnierzami, bardzo dzielny-
mi – kłamie. – I zobacz, jacy przystojni.

– Ale śliczne mundury – mówi Alicia, wracając do poszukiwania Pauliny za pomocą lusterka.

Tyle że one wcale nie są śliczne. Tak naprawdę to nawet nie są uniformy wojskowe, a stroje Hitlerjugend z byle jak przyszytą opaską Deutscher Volkssturm: żalosne umundurowanie sił pospolitego ruszenia rzuconych na front pod koniec wojny. Chłopcy w wieku szkolnym, starszkwowie z reumatyzmem. Mięso armatnie na ostatnią, rozpacziwą próbę uniknięcia przez Niemcy porażki. Choć niektórzy z tych żołnierzyków, przesiąknięci nazistowską propagandą praktycznie od kołyski, okazali się autentycznymi fanatykami, śmiertelnie niebezpiecznymi dla wroga na polu bitwy, zdaje się to nie dotyczyć chłopców na fotografii: próbują zachować powagę, ale nie udaje im się ukryć lęku czającego się w głębi jasnych oczu. Karabiny trzymają w wymuszony sposób, jakby się obawiali, że w każdej chwili mogą przypadkowo wypalić.

Wnuczka jeszcze tego wszystkiego nie wie, tak jak nie dociera do niej, że ci młodzieńcy (te dzieci) są w rzeczywistości przerażeni. Jakżeby mogło być inaczej. Dopiero co zaczęli żyć, a już mają być gotowi zabijać.

Kiedy Alicia podrośnie i zacznie zadawać pytania, skończą się zabawy z albumem fotograficznym. Paulina przestanie pokazywać jej zdjęcia ukryte między okładkami z bordowej skóry, a ona po prostu stopniowo zapomni tamte stare historie.

Paulina Hoffmann zawsze w tym samym kącie szkolnego dziedzińca czeka na dzwonek kończący lekcje. Jako młodej matki nie było jej stać na posyłanie dzieci do szkoły niemieckiej, ale w przypadku wnuczki rodzina mogła sobie na to pozwolić, więc Paulina z radością przyjęła główną rolę w edukacji dziewczynki. Odkąd Diego owdowiał, gdy jego córka miała cztery lata, babcia stała się niezastąpiona: chodzi z małą na zajęcia dodatkowe i akademie, pomaga z pracą domową, a także, nie ukrywajmy, odkurza nierealne i nieskalane wspomnienie pierwszych lat swojego życia, zanim wszystko zostało zniszczone.

Niedawno przygotowały wspólnie kolorowy lampion na Laternelaufen, jesienny pochód, podczas którego każdy uczeń niesie świeczkę we własnoręcznie wykonanej osłonce. Gładka bibułka, której użyły do dekoracji lampionu, migotała w świetle płomienia świeczki z każdym krokiem małej Alicii.

Biorąc udział w takich imprezach, babcia w jakimś stopniu odzyskuje dzieciństwo, którego została brutalnie pozbawiona; tak samo czekanie przed gmachem przy calle

Concha Espina, tym samym, do którego tak bardzo chciała prowadzić własne dzieci, jest zarówno triumfem, jak i przypomnieniem o wszystkim, co nieodwracalnie utraciła.

Dziewczynka wychodzi z poważną miną – wyraźnie czymś się martwi. Paulina zapina jej kurtkę i dokładnie wiąże szalik na szyi. To jeden z najzimniejszych dni w roku. Łapią się za ręce i kierują ku wyjściu.

Milczą w drodze do domu, gdzie spędzą razem kolejne popołudnie, dopóki ojciec Alicii nie skończy pracy w gabinecie. Siwowłosa kobieta bardzo dobrze zna tę dziewczynkę, tak podobną do niej samej, więc wie, że lepiej nie pytać, co zaprzęta jej głowę, dopóki sama nie postanowi się zwierzyć.

Szykują dwa kubki gorącej czekolady i siadają w salonie z przytłumionym światłem. Babcia już od wielu lat stosuje tę sztuczkę: zjeść coś słodkiego, żeby ulżyć zmarzwieniom i przegonić smutki. Stary trik polegający na oszukaniu mózgu odrobiną serotoniny. To złudna pociecha, ale łatwa i przynosząca natychmiastowy skutek.

– Moja przyjaciółka Katja odchodzi ze szkoły. Już nigdy jej nie zobaczę. Wiesz, to moja najlepsza koleżanka – wyznaje w końcu Alicia.

Katja to słodka, nieśmiała dziewczynka, taka jak ona. Właściwie jest nie tyle jej najlepszą przyjaciółką, ile jedyną.

– Wraca z rodziną do Niemiec?

– Tak, powiedziała, że po Bożym Narodzeniu wyjeżdżają do Frankfurtu. Będę za nią okropnie tęsknić. Z kim będę się bawiła na przerwach? Nie chcę chodzić do szkoły, jeśli nie będzie tam Katji. Dlaczego mnie to spotyka? Dlaczego to właśnie ona musi wracać do Niemiec, a nie ktoś inny?

Inna dziewczynka pewnie by się w takiej sytuacji roz-
płakała, ale Alicia nie jest taka. Wyrośnie na kobietę,
która tak łatwo się nie załamuje. Wszyscy będą uważali
ją za znacznie silniejszą, niż jest w rzeczywistości.

Wielu z jej szkolnych kolegów to dzieci Niemców
pracujących tymczasowo w Madrycie, którzy po dwóch
czy trzech latach wracają do Berlina, Monachium albo,
jak w tym przypadku, Frankfurtu. A ona nie należy do
osób łatwo nawiązujących nowe znajomości. Przeciwnie,
przychodzi jej to znacznie trudniej niż większości dzieci.
Do tego stopnia, że ojciec martwi się o nią i wielokrotnie
spotykał się ze szkolnym pedagogiem. Alicia nie mia-
ła problemów z innymi uczniami, ale też się z nimi nie
przyjaźniła. Żyła w swoim własnym świecie, sama bawiła
się na przerwach. Dlatego tak się cieszyła, kiedy parę lat
temu do klasy dołączyła Katja. I dlatego tak bolesnym
ciosem jest dla niej fakt, że teraz koleżanka musi wyje-
chać, zwłaszcza że to nie pierwszy raz, kiedy dziewczynka
straci ukochaną osobę.

Choć od śmierci matki Alicii minęło już ponad pięć
lat, Paulina wciąż obawia się, że pozornie szczęśliwa
wnuczka może w każdej chwili ujawnić skrywany ból.
Utrata matki w tak młodym wieku, kiedy ledwie się ją
zapamiętało, może zostawić głęboką ranę w malutkim
sercu. Jej synowa Paloma była otwartą, serdeczną dziew-
czyną, Diego miał wielkie szczęście ożenić się właśnie
z nią. Zupełnie bezsensowna śmierć, w głupim wypadku
drogowym, tak wiele odebrała jej mężowi i córce, po-
zbawiła ich tysięcy chwil, które spędziliby razem. Spadła
na nich bezlitośnie jak ostrze gilotyny, czystym cięciem
odrąbując coś, czego nigdy nie uda się zastąpić.

Dziewczynka wkrótce skończy dziesięć lat i już prawie

nie pyta o tamtą sympatyczną, wesołą panią, która łaskotała ją po kąpieli i opowiadała bajki na dobranoc. Paulina zaś nie wie, czy ta pozorna normalność, takie milczenie, to dobry czy zły znak.

Na myśl o wielkich pokładach miłości, o których Alicia być może zapomniiała, babcię przepełnia głęboki żal. Pierwszych lat życia, dla rodziców najważniejszych, dzieci wszak praktycznie nie pamiętają. Na żadnym innym etapie nie otrzymujemy tyle czułości co wtedy, ale wszystko rozplywa się wkrótce we mgle nieuformowanej jeszcze pamięci.

Chociaż kto wie, niewykluczone, że nie wszystkie wspomnienia przepadły. Przecież ona sama też nie pamięta już zapachu ani głosu matki, ale nadal ogarnia ją jakieś ciepło, nieporównywalne z żadnym innym uczuciem, za każdym razem, gdy patrzy na jej zdjęcia.

Paulina postawiła sobie za cel, żeby Alicia nigdy nie czuła się bardziej samotna niż inne dzieci, żeby nigdy niczego jej nie brakowało. Ale teraz Katja też ją zostawi.

Być może inna babcia próbowałaby zbagatelizować problem, starałaby się ją przekonać, że znajdzie sobie nową przyjaciółkę. Ale nie ona. Rozumie, że z punktu widzenia jej wnuczki to będzie mała katastrofa.

– Kiedy byłam troszkę młodsza od ciebie – mówi – moja najlepsza przyjaciółka też odeszła ze szkoły. Już nigdy jej nie zobaczyłam. Dobrze rozumiem, jak się teraz czujesz. Ale wtedy były inne czasy i sprawy były znacznie bardziej skomplikowane. Jeśli łączy was z Katją prawdziwa przyjaźń, jeśli naprawdę rozumiecie się tak dobrze, jak teraz wam się wydaje, nie możecie pozwolić, żeby to was rozdzieliło. Możesz pisać do niej listy i pocztówki, wysyłać zdjęcia, a nawet ją odwiedzić, jeśli kiedyś wybierzesz

się na wakacje do Niemiec. Musisz wykorzystać każdą okazję, żeby pozostać z nią w kontakcie. Ja nie miałam takiej możliwości, *Schatz** – dodaje babcia.

– Jak się nazywała koleżanka? Masz jakieś jej zdjęcie? – pyta wnuczka.

– Miała na imię Ana i nie, nie mam żadnego zdjęcia. Ale pamiętam, że nosiła długie czarne warkocze, bardzo lśniące, i że kiedyś pożyczyła mi swoją ulubioną lalkę. Oddałabym wszystkie skarby świata, żeby móc z nią utrzymywać kontakt, kiedy nie mogłyśmy się już widywać – mówi, jak zwykle sprytnie przerabiając przeszłość na przypowieść odpowiednią dla uszu małej Alicii.

Obie głęboko się zamyślają. Dzisiaj nie będzie zabawy z albumem fotograficznym.

I wtedy umysł Pauliny Hoffmann podsuwa świetne rozwiązanie. Wspomnienie ukryte w najgłębszych zakamarkach pamięci nasuwa jej na myśl niezawodny sposób na odwrócenie uwagi wnuczki i poprawienie jej humoru.

– Ejże! – woła. – Właśnie się zorientowałam, że zapomnialiśmy o czymś bardzo ważnym.

– O co chodzi, babciu? – pyta wnuczka, która oczywiście złapała przynętę.

– Słuchaj, jaki dziś mamy dzień?

– Piętnasty grudnia.

– A co zwykle robimy mniej więcej w tym czasie, a w tym roku jeszcze nie zrobiłyśmy?

– Ciasteczka świąteczne!

Wypadają z salonu i biegną korytarzem do kuchni. Babcia przyrządza ciastka zgodnie z przepisem swojej mamy. Istnieją smaki, które przechodzą z pokolenia na

* Skarbie (niem.).

pokolenie, nierozzerwalnie związane z momentami z przeszłości, z ludźmi, których już z nami nie ma. A charakterystycznym składnikiem tych akurat ciasteczek, tym, co odróżnia je od wszystkich innych, jest starta skórka cytryny dodawana do ciasta na sam koniec wyrabiania masy.

Tego popołudnia, kiedy Paulina przecina nożem szorstką żółtą skórkę, przenikliwa woń cytrusów atakuje ją gwałtownie i na chwilę przenosi do Berlina w 1938 roku. Jakby czas w ogóle nie istniał, jakby nadal miała sześć lat, wraca do jadalni w domu rodzinnym i widzi przed sobą drewniany stół nakryty koronkową serwetą. Porcelanową zastawę w niebieski wzorek. Cukierniczkę bez jednego uszka. Wzrok matki. I znowu czuje przeszywający ból brzucha.

Musi szybko wymyślić jakąś wymówkę i schować się w sypialni, żeby się uspokoić, na kilka czy kilkanaście minut zostawić wnuczkę samą w kuchni.

Pamięć zna ścieżki, o których już dawno zapomnieliśmy. Złośliwa i podstępna potrafi w najbardziej niespodziewanym momencie przenieść nas w miejsca, które po długiej walce udało nam się zostawić za sobą.